

**Henry Chancellor, *Muzeum i Szafir* (Niezwykłe przygody Tomka Scatterhorna,
tom 1)**

- Co tam masz? Kamienie czy co?

Było mroźne zimowe popołudnie, gdzieś koło trzeciej. Mały okrągły człowieczek z trudem wyciągnął z taksówki niebieski, mocno wyświechtany marynarski worek, a następnie postawił go na chodniku.

- Niezupełnie - odpowiedział szczupły jasnowłosy chłopiec w cienkiej kurtce i zadrżał z zimna.

- I pewnie parę cegieł na dodatek? - wysapał mężczyzna, unosząc brwi i sięgając do kieszeni po pieniądze. Chłopiec uśmiechnął się grzecznie, kuląc się na wietrze. Mimo wczesnej pory, świeciły już latarnie. Kierowca opuścił zaparowaną szybę okna tylko na tyle, żeby w szparze zmieściła się jego dłoń wyciągnięta po banknoty. Nie miał zamiaru wysiadać, było na to o wiele za zimno. Ten wiatr wiał prosto z Syberii.

- Dzięki bardzo - powiedział, pociągając nosem. - Życzę Wesołych Świąt. - Odjechał, rozchlapując wodę z kałuż.

- Chodźmy do środka, nim obaj zamarzniemy - mruknął mężczyzna.

Schwycił obiema rękami worek i zaczął wspinać się po szerokich stopniach wielkiego budynku z czerwonej cegły. Zniknął w bocznych drzwiach. O schody zaczęły bębnić okazałych rozmiarów kuleczki gradu. Tomek zamierzał czym prędzej podążyć za nim, gdy jego wzrok spoczął na dwóch kamiennych smokach o gniewnym wyglądzie, umieszczonych nad wejściem. Trzymały między sobą obtłuczoną tablicę z napisem:

**Muzeum Scatterhorna
Założone w roku 1900 przez Sir Henry'ego Scatterhorna
Przekazane w darze mieszkańcom Dragonport
Boże, chroń Króla.**

Mimo gradu i lodowatego wiatru chłoszczącego twarz, Tomek uśmiechnął się. Może wcale nie będzie tak źle. W końcu nie tak wielu chłopców ma okazję spędzić zimowe ferie w muzeum nazwanym imieniem...

- Tomku, wejdźże do środka, nim zamienisz się w sopel lodu! - zabrzmiał głos zza drzwi. Chłopiec nagle uświadomił sobie, że jego zęby szcękają z zimna. Wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie, i wpadł do środka.

- A więc twoja mama wyjechała do Mongolii, tak?

Tomek skinął głową. Siedział w małej kuchni o pomalowanych na żółto ścianach, mieszczącej się na tyłach muzeum, i przyciskał dłonie do kaloryfera. Czuł, że powoli odmarza.

- Fascynujący kraj, naprawdę fascynujący. Miejmy nadzieję, że go znajdzie. Ten kraj jest również bardzo rozległy.

- Myślę, że jej się uda - stwierdził grzecznie, lecz stanowczo Tomek.

Naprawdę bardzo na to liczył. Odkąd jego ojciec zniknął sześć miesięcy wcześniej, niczego bardziej nie pragnął. Również z tego właśnie powodu znalazł się w Muzeum

Scatterhorna, by spędzić Boże Narodzenie z wujem Josem i ciocią Melbą, których nigdy przedtem nie widział.

- Hm - ciocia Melba w skupieniu nalewała herbatę. - Bądźmy optymistami. Ciekawe, co się je w Mongolii do herbaty? Poczęstuj się biszkopcikiem.

- Z przyjemnością - wtrącił wujek Jos i wziął sobie dwa.

- Czekaj no, ty wielki hohoniu! - skarciła go Melba. Wyrwała jeden biszkopt z ręki męża i podała go Tomkowi.

- Chłopak na pewno jest głodny, popatrz tylko na niego.

Jos hałaśliwie skruszył przysmak i przyjrzał się przez okulary wychudzonemu dzieciakowi, siedzącemu po drugiej stronie stołu. Tomek miał jedenaście lat i był dość wysoki, jak na swój wiek, ale zarazem bardzo chudy. Miał ciemne, przenikliwe oczy i szerokie usta o zdecydowanym wyrazie. Jasne włosy opadały mu na czoło, wijąc się niesfornymi kosmykami. Był bardzo młody, ale w jego wyglądzie było coś z dorosłego.

- Zupełnie jak jego ojciec - odezwał się wreszcie Jos. - Wypisz, wymaluj, całkiem jak Sam.

- Tylko chudy jak szczapa - dodała Melba z troską w głosie. - Tomku, czy twoi rodzice wcale cię nie karmią?

Oczywiście, że go karmili. Rodzice Tomka dawali mu jeść, ubierali, dbali o niego, kochali go i nigdy nie bili. W gruncie rzeczy jego życie było zupełnie zwykłe, dopóki kilka lat temu wszystko nie zaczęło się zmieniać... ale akurat teraz Tomek nie miał ochoty się nad tym zastanawiać. Wciąż wspominał słowa matki, wypowiedziane, gdy zegnał się z nią tego ranka na dworcu kolejowym.

- Pamiętaj, że wujek Jos i ciocia Melba są trochę inni.

- Co to znaczy?

- Nic takiego, po prostu są starsi i nigdy nie mieli dzieci. Są więc... trochę inni.

- To znaczy... są dziwakami?

- Nie, nie całkiem - odpowiedziała matka, starannie dobierając słowa, by go nie zrazić. - Są tylko nietypowi, to wszystko. Spędzili razem mnóstwo czasu w tym dziwnym, starym budynku.

Jadąc pociągiem i obserwując krople deszczu ściekające po szybach, Tomek zastanawiał się, co to znaczy „nietypowi”. Mogli być nietypowi w dobry sposób, tak jak jego rodzice, których trudno byłoby zaliczyć do przeciętnych ludzi. Miał taką nadzieję, no, a teraz, kiedy już przybył na miejsce, właśnie zaczynał rozumieć, co mama miała na myśli. Niewątpliwie ciotka i wuj byli dość szczególnymi ludźmi.

- Może kanapkę z pasztetem? - wysapał wujek Jos, podsuwając talerzyk w jego stronę. - Śmiało, to najlepsza rzecz, jaka może być: pasztet z sardynek.

Wujek Jos był okrągłutki, miał czerwone policzki, a kępki rzadkich włosów sterczały z jego łysej głowy we wszystkie strony. Najwyraźniejsze w jego twarzy były brwi, gęste jak żywopłot i zrosnięte pośrodku. Pod nimi kryło się dwoje ciemnych, paciorkowatych oczu, które nigdy nie pozostawały bez ruchu. Mężczyzna miał na sobie dwa rozpinane swetry: jeden różowo-zielony, drugi niebiesko-pomarańczowy. Głowę przechylał na bok, jak pies wsłuchujący się w polecenie właściciela. Tomek szybko zorientował się, że wujek Jos bardzo często trzyma głowę w ten sposób.

- Hm... nie, dziękuję.

- Nie wiesz, co tracisz, młodzieńcze - oznajmił wujek, wpychając kolejną kanapkę do ust.

- Może wie, Jos - zauważyła ciotka z przyganą w głosie. - Tomku, moj drogi, nalej sobie jeszcze herbaty.

Można powiedzieć, że ciocia Melba stanowiła całkowite przeciwieństwo swego małżonka. Nie była niska, krągła i jowialna, tylko blada, ostrzyżone „na pazia” włosy nadawały jej dość surowy wygląd średniowiecznego monarchy. Pozbierała szybkimi ptasimi ruchami okruszki ze swojego talerza i podała długiemu, białemu szczurowi o czerwonych oczach, siedzącemu na jej kolanach. Był to Plankton, który także brał udział w podwieczorku.

- Plankton jest najlepszym łowcą myszy w tym mieście - stwierdziła Melba, głaszcząc zwierzątko po grzbiecie.

- Łowcą myszy? - powtórzył Tomek, który był pewien, że łowcami myszy są koty, a nie szczury.

- Jasne - wujek Jos puścił do niego oko. - Nie wiedziałeś, że myszy strasznie się boją szczurów? Zwłaszcza takich białych, z czerwonymi oczami. Gdy spotkają Planktona w jakiejś ciemnej norze, wydaje im się, że już umarli i poszły do piekła. Dla nich on jest diabłem, diabłem o wielkich, czerwonych ślepiach. Przyszedł, żeby ukarać je za wszelkie bezeceństwa, jakich dopuściły się w swym życiu.

Paciorkowate oczy Josa lśniły z uciechy pod krzaczastymi brwiami.

- A więc uciekają z krzykiem i nie wracają nigdy więcej.

- Nie słuchaj go, Tomku - powiedziała Melba z uśmiechem. - Ale diabeł czy nie, dobry z niego szczur - dodała - i odkąd pojawił się w mieście Plankton, nigdy nie mieliśmy kłopotów z myszami. Chcesz go potrzymać?

Zanim Tomek zdążył odpowiedzieć, zwierzątko znalazło się na jego kolanach. Nigdy nie miał przekonania do szczurów, a Plankton, od którego zalatywało słomą, nie wpłynął na zmianę jego przekonań.

- Ehem... to jest, tego... czy o tej porze roku dużo ludzi przychodzi do muzeum? - zapytał, starając się zapomnieć o Planktonie, którego pazurki dokonywały właśnie inspekcji jego kieszeni. Tak się składało, że w niej właśnie znajdowała się jego ostatnia torebka oranżady w proszku, o smaku cytrynowym.

- Ależ tak, młodzieńcze, ruch tu wprost niemożliwy - rzucił pospiesznie Jos. - Ani chwili spokoju, nigdy. Melba i ja stanowimy całą załogę tej jednostki. Przecież zaledwie tydzień temu... zaraz, co było tydzień temu?

- W zeszły poniedziałek miała być zabawa szkolna, tylko została odwołana.

- No tak, dla maluchów jest trochę za zimno o tej porze roku - wyjaśnił Jos. - Za to ci staruszkowie z towarzystwa miłośników historii Dragonport przyszli we wtorek i naprawdę bardzo im się podobało...

- I tylko dwóch z nich przysięgło, że ich noga więcej tu nie postanie.

- Dlaczego? - zainteresował się Tomek.

- Wystraszyli się - odpowiedział natychmiast wujek Jos. - Widzisz, nie możemy palić tu za dużo świateł, więc jest ciemnawo. Niektórym z tych pocziwin nie starczyło odwagi.

- Trzy osoby w środę.

Wujek Jos prychnął głośno.

- Obawiam się, moja droga, że źle liczysz. Na pewno było więcej...

- Owszem, był jeszcze taki jeden, który przyszedł, ale nic nie zapłacił.

- Czyżby znów Nieszczelny Logan? - wykrzyknął Jos. - Nie, tylko nie to!

- Stwierdził, że nie zapłaci, bo jesteśmy winni tyle pieniędzy za naprawę bojlera, że należy mu się darmowy bilet do końca życia - oznajmiła dobitnie ciocia Melba.

- Pijawka! - mruknął wujaszek Jos.

- W czwartek i piątek nikt nie przyszedł - ciągnęła ciotka, podając Planktonowi kolejne okruszki.

- Może i tak, Melbo, może tak, ale sobota zawsze jest najlepszym dniem dla Muzeum Scatterhorna. - Jos nie poddawał się. - W dobrych czasach przychodziło do nas tysiące ludzi, kolejki stały na ulicy. Jak na ligowe finały.

- Jednak w zeszłą sobotę przyszły tylko dwie osoby. Obie z rady miejskiej. Chodziło o to, że zalegamy z rachunkami.

- No dobrze - rzekł Jos, unosząc obie ręce. - Wiem, muzeum nie jest zbyt dochodowym przedsięwzięciem. Tylko widzisz, Tomku, rzecz w tym... - odchrząknął, jakby miał powiedzieć coś bardzo ważnego. - Rzecz w tym, że Muzeum Scatterhorna jest wciąż jeszcze otwarte.

- Jak to mówił twój ojciec? - wtrąciła Melba cichym głosem.

- Dopóki tu jesteśmy... - oznajmił Jos, wstając i chwytając Tomka za koszulę - ...dopóty tu jesteśmy!

Ramiona Josa zaczęły drżeć w bezgłośnym śmiechu, nawet Melba pozwoliła sobie na krotki chichot. Tomek uśmiechnął się uprzejmie, ale nie bardzo wiedział, co w tym zabawnego.

- Nigdy nie mogłem pojąć, co miał na myśli - oznajmił Jos, ocierając oczy. - Zrozumiałem tylko tyle, że muzeum ma być otwarte, choćby wichry wyły i szalał sztorm. To zaś Jos rozumiał wręcz doskonale, ponieważ swego czasu służył w marynarce.

Po podwieczorku wujek Jos zaprowadził Tomka skrzypiącymi schodkami do pokoju na strychu. Drzwi były tak wąskie i niskie, że Jos z trudem się przez nie przecisnął.

- Wybacz bałagan - powiedział, odsuwając kopniakiem na bok jakieś bardzo stare pudła i rzucając worek Tomka na łóżko. - Ależ to ciężkie! - Opadł na łóżko i sapał głośno jak maszyna parowa. - A więc, Tomku - odezwał się, spoglądając na niego z głową przechyloną na bok - co sądzisz o swej kajucie?

Tomek rozejrzał się po pokoiku. Był ciemny, wilgotny i zimny, a wszystkie ściany kończyły się skosami. Pod oknem stało małe biurko; przez brudne szyby widać było mokre dachy, a dalej szarą rzekę. Na jej drugim brzegu Tomek dostrzegł żółte światła portu i sylwetki wielkich dźwigów, wznoszących się w półmroku jak dinozaury.

- Super - powiedział i wzdrygnął się. - Może trochę za zimno, ale...

- Z tym sobie poradzimy - przerwał mu Jos. - Nic się nie martw. Może tu i chłodno, ale zapewniam cię, że cieplej niż w Mongolii!

Zachichotał, dźwignął się z łóżka i podszedł do drzwi, lawirując między pudłami.

- Na pewno chcesz się teraz urządzić, więc zostawię cię w spokoju. Jutro obejrzymy sobie dokładnie to miejsce i powiesz mi, jak ci się podoba. Bardziej ciekaw twego zdania - znów puścił do niego oko - bo przecież nosisz nazwisko Scatterhorn. Może się zdarzyć, że pewnego dnia właśnie ty przejmiesz tu ster - pomachał ręką i zniknął.

Tomek raz jeszcze rozejrzał się po zimnym i ciemnym pokoju, w którym piętrzyły się stosy pachnących stęchlizną książek i starych gazet, i nagle poczuł się bardzo samotny. Omijając pudła, podszedł do okna. Patrzył na księżyc, pędzący pośród srebrnych chmur, i nasłuchiwał wycia wiatru. Wyobraził sobie, że ten sam księżyc świeci teraz nad lasami gdzieś na drugim końcu świata, gdzie rozbito mały namiot i rozpalono ognisko. Oczami duszy widział ojca, który uśmiechał się, i mamę, także uśmiechniętą.

Tomek odwrócił się od okna i przygryzł wargę. Tak bardzo tęsknił za rodzicami i strasznie chciałby być razem z nimi! Teraz jednak było już za późno.

- Bądź dzielny - powiedziała mu mama na stacji.

Tomek ścisnął ją z całej siły i wcale nie miał ochoty jej puścić. Nie mógł znieść myśli, że matka wyjeżdża, ale zarazem wiedział, że nic na całym świecie nie zdoła jej przed tym powstrzymać. Ojciec zniknął sześć miesięcy temu, więc teraz musiała jechać tam, daleko, znaleźć go i przywieźć z powrotem do domu.

Gdzie on mógł być?

Może w Mongolii. Może w Kazachstanie. W jakimś dziwnym, dzikim kraju, pełnym lasów i rzek. To pytanie prześladowało Tomka noc w noc, czasem nawet zastanawiał się, czy to wszystko nie jest jego wina. W końcu przecież sprawy mogły potoczyć się zupełnie inaczej.

Tomek obchodził urodziny 1 czerwca; tak się akurat składało, że tego samego dnia urodziny miał także jego ojciec, Sam Scatterhorn.

Poranek wstał ciepły i słoneczny, a ponieważ chłopiec był zbyt podekscytowany, by spać, zszedł na paluszkach do kuchni - zanim jeszcze obudzili się jego rodzice - żeby przyjrzeć się prezentom.

Na jednym końcu stołu piętrzył się cały ich stos - to były jego podarunki urodzinowe - a na drugim końcu leżały prezenty dla ojca; tych było znacznie mniej. Tomek ostrożnie brał każdy ze swoich prezentów po kolei do ręki, naciskał lekko palcami opakowanie i próbował sobie wyobrazić, co jest w środku.

Gdy usłyszał kliknięcie pokrywy od skrzynki na listy, pobiegł do przedpokoju, i na podłodze znalazł stosik listów. „Tomek Scatterhorn, „Tomek Scatterhorn, „Tomek Scatterhorn”... ten ostatni był obiecująco ciężki i chłopiec był pewien, że to pieniądze, a przynajmniej taką miał nadzieję. Zaniósł listy do kuchni i rozłożył je na stole. Dopiero wtedy zobaczył jeszcze jedną, małą, brudną kopertę z naklejką „poczta lotnicza” .

Była poślizgnięta i wymięta, wyglądała, jakby przetrwała katastrofę okrętu, pożar, a może nawet trzęsienie ziemi. Zaadresowana była do „pana Samuela Scatterhorna”, niebieskim atramentem, wielkimi, okrągłymi literami. Tomek zastanawiał się, od kogo mógł być ten list. Tata nigdy nie dostawał listów na urodziny. Jeden ze stempli był podłużny, widniał na nim jeździec otoczony wzorem z liter, jakich Tomek nigdy wcześniej nie widział.

Nie wiedział, czemu to robi, ale zapalił ogień na kuchence gazowej i wsunął tę dziwną kopertę w płomień. Zajął się od razu, ogień sięgnął jego palców...

Auć!

Obudził się, i usiadł wyprostowany na łóżku. Odetchnął z ulgą, dotykając dłoni. Nie miał poparzeń. To był tylko sen.

Nie, nic podobnego. Wszystko odbyło się właśnie w ten sposób, z jednym małym wyjątkiem: nie spalił tamtego listu. A należało go spalić - wtedy, o szóstej rano, tamtego słonecznego ranka... i wszystko byłoby tak samo, jak dotąd. No, ale nie zrobił tego...